



WIECZORY W RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

KOLIBRY.

Sliczne te ptaszyny żyją wyłącznie w Ameryce, w innych częściach świata są różne malutkie ptaszeczki, lecz właściwych kolibrów niema nigdzie. Niedarmo je po francuzku nazywają *oiseau mouche*, są to bowiem tak drobne stworzonka, że je śmiało porównać można do owadów, z którymi także i wspólne mają upodobania, gdyż żywią się sokiem kwiatów. Dodają wprawdzie do tego i inny pokarm, zwykle w kielichach kwiatów, oprócz słodkiego soku, wynajdują drobne muszki i robaczki, lecz zawsze popijają przynajmniej tym przysmakiem motylów i żuków.

Kolibry budują sobie nadzwyczaj kunsztowne gniazdeczka, które jak cacka dziecinne wyglądają, składają w nie jajeczka wielkości grochu. Rycina nasza przedstawia trzy takie gniazdeczka różnych gatunków kolibrów, zamieszkujących Amerykę zwrotnikową. Po prawej stronie widzicie gniazdeczko, do małego koszyeczka podobne, uciepione jednym końcem do skały, z której się zwiesza na mocnych włóknach roślinnych. Siedzi w niem śliczna ptaszyna brunatna, z gardziółkiem jasno zielonym, jak szmaragd, nazywa się gwiazdka górską, *Oreotrochylus leucopleurus*, przebywa na wyżynach Andów, rzadko kiedy ukazuje się w dolinach. Gniazdeczko to wplecione jest bardzo do wcipnie ze ździebełek mchów i różnych roślinnych włókien.

Po lewej stronie ładny kolibr pila, *Grypus naevius*, tak przewany, bo ma dziobek ząbkowany, jak pila, zawiesił na



Kolibry.

liściu palmowym swoje gniazdeczko, zupełnie do siatkowego woreczka podobne. Jest to plecienka przezroczysta, tak że widać z zewnątrz jajka i pisklęta. Kolibr ten nie ma zbyt jaskrawego zabarwienia, odznacza się tylko czerwonym gardziółkiem, biało nakrapianém. Żyje w głębi cienistych lasów, przesiaduje często na pięknych kwiatach storczyków.

Trzecie gniazdo zawieszono jest na gałązce pnącej się rośliny, ukryte pośród liści i kunsztownie bardzo utkane z różnych roślinnych ździebełek. Należy do pięknego kolibra, zwanego nimfą leśną, *Thalunania glaucopsis*, ma on wierzch główki i gardziółko ślicznego, turkusowego koloru i dla tych ozdoby piórek, z których wyrabiają rozmaite cacka, tępiony jest niemiłosiernie. Teraz od pewnego czasu rozpowszechniła się moda ubierania kapeluszy damskich ptaszkami. Od tej pory niesłychana moc pięknych ptaszków amerykańskich pada ofiarą tej niemiłosierniej mody.

W gabinecie zoologicznym warszawskim jest mnóstwo wypchanych kolibrów, lecz w ogrodzie zoologicznym ich nie obaczycie, bo ptaszki te nie mogą żyć w niewoli, prawdopodobnie dla tego, że trudno bardzo dobrać im pokarm stosowny. Probowano już nieraz trzymać je w pokoju, dawano im świeże kwiaty, i syrop, i drobne muszki, ptaszyny dawały się nawet obłaskawić, lecz zawsze po kilku dniach ginęły. Niełatwo też to rzecz schwytać kolibra, ptaszęta te są niezmiernie ruchliwe, z błyskawiczną szybkością unoszą się w górę, spuszczają się znów jak strzała, nigdy prawie nie wycoczywają. Przy pięknej swój powierzchowności, kolibry nie mają jednak miłego głosu, niektóre są krzykliwe, inne brzęczą, jak owady i szeleszczą skrzydełkami.

PAJĄK.

ANTONIEGO CZAJKOWSKIEGO.

Pająk się Matce Boskiej sprzeciwia,
Bo chociaż ona przedzie tak cienko,
On cieniiej snuje swoje krosienko,
I srebrne tkanki jaśniej oszkliewia,

Więc nie grzech zabić pająka.

Lecz pająk wieszczek, po srebrnej sieci
Z rana nieszczęścia zwiastować leci,
A gdy wieczorne godziny wieją,
Wróżbita cieszy złotą nadzieją,

Więc szkoda zabić pająka.

A pająk śpiewak, na gruzach gości,
I w starych grodach z bratem słowikiem,
Promieniejącą barwy językiem
Kwili gdzieś w kątku dumki przeszłości;

Więc żal zabijać pająka.

A pająk prorok, w złocistej sali,
Na szarąj przędzy pierś swą kołysz, e,
I szarym kłębkami po ścianie pisze
Baltazarowe: „Bóg cię obali”,

Więc strach zabijać pająka.

A pająk kapłan, kraty osłania,
Więźniów pociesza, urny oprzędzie,
I z trupich główek tęczę dobiedzie
Po hymnach śnierci, hymn zmartwychwstania,

Więc grzech zabijać pająka.

A pająk mędrzec, gdy mu sieć zmiotą,
W nadziejach piersi swój nie rozleni,
Ale ze starych serca promieni
Wnet rzeczywistość uplecie złotą;

Jak nie iść w ślady pająka!

Pająku! Maryi się nie sprzeciwiaj,
Lecz na jej chwałę twoje krosienko
Zasnuwaj srebrno, zasnuwaj cienko,
W barwiste wzory jaśniej oszkliewiaj,
A ja cię Kocham, pająku.

Wielki gejzer w Islandyi.

Nazwa Islandyi, (Eisland) oznacza w języku miejscowym ziemię lodów, lecz w północnej tej krainie ogień wewnętrzny nieustanną walkę toczy z lodową powierzchnią. Musiały się tam niegdyś odbywać straszliwe przewroty wulkaniczne, a i dziś jeszcze siły podziemne nie uspokoiły się wcale. Pośród pasma gór wysokich, śniegiem ubielonych, naliczyć można z dziesięć wulkanów, największy z nich, Heklą zwany, niezbyt dawno, w r. 1878 wybuchł. Cała wyspa przedstawia smutny obraz spustoszenia, roślinność jest niezmiernie uboga, grunt nieurodzajny, lawą i popiołami wulkanicznymi pokryty, w wielu miejscach popękany.

Ze stoków wyżyn spuszcza się liczne lodowce, topniejąc tworzą potoki, wspaniałe wodospady, które zlewają się u stóp gór w rozległe jeziora i moczary. Woda ta przecieka przez szczeliny gruntu i dostaje się do głębin, gdzie działają ognie podziemne; tam ogrzewa się, zamienia w wrzątek, wytwarza ogromną ilość pary, która wodę rozpręża i wypycha różnymi otworami na powierzchnię ziemi. Powstają ztąd osobliwszego rodzaju wodotryski, zwane gejzerami od wyrazu islandzkiego, który oznacza wir wodny.

Trzeba wiedzieć, że woda tém łatwiej zamienia się w parę, im mniej na nią z góry ciśnię powietrze; na wysokich szczytach woda zagotuje się prędzej, nie będąc jeszcze nawet bardzo gorącą. Za to w naczyniach szczelnie zamkniętych, z których para wydobyć się nie może, woda ogrzewa się daleko silniej od zwyczajnego wrzątku. Na tej zasadzie polega kociołek do gotowania zupy rumfordzkiej, w którym woda pod wysokim ciśnieniem dochodzi do nadzwyczajnego gorąca i rozpuszcza najtwardsze szczątki mięsa, z kości nawet wszelkie pożywne soki wyciska. Trzeba jednak, aby kociołek był bardzo mocny, bo woda rozprężona, może go rozsądzić i wówczas wszystka w mgnieniu oka w parę się zamieni.

Otóż coś podobnego dzieje się we wnętrzu ziemi, tam, gdzie tryskają gejzery. Woda ogrzewa się silnie od spodu, z wierzchu naciska ją słup wody zimniejszej. Przychodzi jednak chwila, gdy wrzątek o tyle się rozpręży, iż wypchnie tę zapórę do góry i z ciasnego więzienia się wydobędzie. Wówczas zamienia się w parę i gwałtownie wybucha. Gdy woda rozproszy się swobodnie w powietrze i ostygnie, prężność jej słabnie i strumień opada w głąb otworu; wszystko się uspokaja na czas jakiś, póki znów gorąco podziemne nie zachwieje równowagi słupa wodnego i nie wypchnie go gwałtownie w górę.

Rycina nasza przedstawia największy z gejzerów islandzkich. W chwilach spokojnych, na pagórku kilkumetrowej wysokości widzi się tylko wyżłobioną obszerną miednicę, której brzegi pokryte są masą twardą, szklistą, do górnego kryształu podobną. Powłoka ta ztąd pochodzi, że woda gorąca, zwłaszcza pod wysokim ciśnieniem, rozpuszcza w sobie cząstki minerałów, głównie krzemionki, gdy zaś ostygnie na powietrzu, cząstki te osadzają się na wbrzeżach źródła. Otwór wielkiego gejzeru ma trzy metry średnicy, a dwadzieścia trzy metry głębokości. Gdy wybuch ma nastąpić, miednica wypełnia się najpierw po brzegi wodą gorącą, grunty zaczyna drzeć pod stopami, jakby w skutek lekkiego trzęsienia ziemi, huk podziemny słyszeć się daje, woda w miednicy coraz silniej burzy się i przewraca, aż w końcu tryska nagle na kilkadziesiąt stóp wysokości, bryzgając pianą i obłoki pary rozpraszając dokoła.

Wybuchy te powtarzają się raz po raz w pewnych odstępach czasu.

pach czasu. Oprócz tego wielkiego gejzeru, jest tam jeszcze mnóstwo innych mniejszych; niektóre już dziś nie są czynne, otwory tylko, szklistą masą powleczone, świadczą o dawniejszej ich działalności. W Ameryce są gejzery daleko okazałsze od islandzkich, opis ich podamy później wraz z rysunkami.

DZIECKO SZCZĘŚCIA.

OBRAZEK Z ŻYCIA

przez Maryą Pomorską.

Zegar wybił dwunastą na pensyi pani S, i w tejże chwili głos dzwonka oznajmił uczniom upragnioną godzinę rekreacji. Wyspały się też tłumnie do ogrodu, wesoło śmiejąc się i gwarząc. Czekala tam już na nie huśtawka, do której większa część dziewczątek pośpieszyła; reszta zaś rozsypana się po cienistych alejach: to gawędząc, to powtarzając lekcy, lub wreszcie grając w gry rozmaite. Wtém w jednej części ogrodu, gdzie był klomb najpiękniejszych kwiatów, rozległ się przeciągły okrzyk przerażenia. Huśtawka nagle osamotniała, i z całego ogrodu pobiegły panienki w tę stronę, skąd je krzyk doleciał. I jakiż widok przedstawił się ich oczom! Oto, najpiękniejsza z całego klombu, roślina egzotyczna, starannie pielęgnowana własnymi rękami przełożonej i najbardziej lubiona przez nią, leżała wpol przełamana na ziemi, i smutnie żegnała się poraz ostatni z jasnymi promieniami słońca.

Oslupiały na ten widok panienki, z żalu nad śliczną rośliną i z obawy gniewu przełożonej. Już chciały pytać się wzajemnie, która była sprawczynią dokonanego zniszczenia, gdy wtém spostrzegły o kroków parę jedną z koleżanek, tak zmieszana i zawstydzona, że i pytać nie trzeba było. Śliczne piętnastoletnie dziewczę, z szafirowemi oczyma i figlarnie kręcącemi się ciemno-blond włosami, załamało ręce rozpacznie i na płacz się jej zbierało, na widok wyrządzonej szkody. Po chwilowej ciszy krzyknęło naraz głosów kilka:

— Ach, Leontyna! to dziecko szczęścia! — bo tak ją koleżanki nazywały zwykle — zobaczycie, że nic jej za to nie będzie, bo też nikt na nią długo gniewać się nie może — i na te słowa kilka ramion tuliło już po kolei do siebie małą psotnicę, usiłując ją uspokoić. Wtém struchlały wszystkie; z bocznej alei nadchodzi przełożona, co też ona powie?

— Czemużeście się tak skupiły na jednym miejscu, moje panienki? — odezwała się przełożona podchodząc — dlaczego nie biegacie? wszak to godzina rekreacji — a wtém, spostrzegając zlaną ulubioną swą roślinę, posmutniała nagle, a twarz jej przybrała wyraz surowy. — Któraż to z was wyrządziła mi taką krzywdę? — rzekła — wszak wiecie, że była to moja najulubieńsza roślina!

Dziewczęta umilkły zmieszane, a wzrok doświadczonej pani S. rozpoznał natychmiast winną, chciała jednak wiedzieć, czy przynajmniej sama. Leontyna, pomimo roztrzępania i wielkiej lekkomyślności, dobre miała jednak serce i zanadto była szlachetną, aby innym pozwolić niesłusznie cierpieć za siebie. To też z płaczem rzuciła się i zaczęła całować ręce przełożonej, która nie mogła się długo opierać dziwnemu urokowi, jaki to dziecko wywierało na wszystkich w ogóle, i tylko z lekka już strofując, tuliła ją do siebie w przebaczeniu. Spytała jednak, jakim się to stało sposobem. Pokazało się, że Leontyna, nieważna jak zwykle, zobaczyła po drugiej stronie klombu ładnego motyla, a zapomniawszy o kwiatach tam rosnących, przeskoczyła odrazu, aby nie dać ujść swojej zdobyczy, i czyniąc to złamała roślinę.

— I czyż to zawsze gwiazda szczęścia tak jej przyświecać będzie? Na wszystkich rzuciła urok, jak na koleżanki tak i nauczycielki, aż do przełożonej. A i nauki, jakto łatwo do niej przystają. Taka zdolna! raz tylko potrzebuje lekcy, przeczytać, aby ją umieć doskonale. Nie mogę pojąć dopra-

wdy, czém się to dzieje, że na jednych tyle szczęścia los zlewa, a drudzy całe życie ręce wyciągać doń muszą napróżno, jak ja naprzykład.

Tak mówiła do siebie wążła, blada 17-sto letnia panienka, co razem z innymi podążała w tej chwili do klasy, gdyż dzwonek oznajmił nowe lekcy. Była to córka oddawna już zmarłego urzędnika, którego żona we wszystkiém sobie uszczuplała, aby dać naukę swojej jedyniej, ukochanej Jadwigi. I przyznać trzeba, że wdowi szeląg nie przepadał tu marnie, bo Jadwiga, choć mniej zdolna od innych, pracowała usilnie i zawsze do najlepszych liczyła się uczennic. Tak młoda, a przeszła już bolesną szkołę życia i ta zapewne napiętnowała jej twarzyczkę wyrazem przedwczesnej powagi; i dziwniej jakiejś, nieujętej melancholii. Nie mogło też to pociągać do siebie młodych, wesołych panienek, jak śmiejące się wiecznie oczęta Leontyna, w których zwykle widziały odbicie swoich własnych figlów i pustoty. Jadwiga, wyrażając się powyżej w taki sposób o koleżance, nie czyniła tego bynajmniej z zazdrości; wypływało to poprostu ze smutnych myśli, tak jak łza sieroty płynie na widok dziecka, darzonego pieśczęcią rodziców.

Matka jej mieszkała daleko, a szczupłe środki pieniężne pozwalały im raz na rok tylko się widzieć. Leontyna zaś przeciwnie, obojga rodziców miała tutaj i choć mieszkała na pensyi, wychodziła co święto i niedzię do domu. Za powrotem, nanosiła z sobą zawsze mnóstwo świecidełek, które wywoływały zwykle zazdrość i zachwycenie w koleżankach. Ona zawsze najstrojniej była ubrana, bo zamożni rodzice psuli ją nadmiernie, i nie mogli nigdy znaleźć coś dostatecznie ładnego i wytwornego dla swjej jedynaczki. Leontyna serce z gruntu miała dobre, ale ciągle to szczęście i powodzenie bez chmurki, zepsuło charakter, czyniąc ją niezmiernie próżną. Opowiadała zawsze koleżankom za powrotem na pensyę, jakim to paradnym jeździła powozem na spacer, jak podziwiano w towarzystwie jej stroje, dowcip, ułożenie i t. d. Nigdy się o nic nie zatroszczyła; nie spojrziała na życie poważniej; pragnęła uciech bez końca; był to cel jej jedyny. To też wszystkie mniej uposażone od losu koleżanki mówiły zwykle z westchnieniem: O! jakież to dziecko szczęścia! Lecz najbardziej odczuwała to Jadwiga, a zwłaszcza wtedy, gdy widziała Leontynę, wydającą dużo grosza na drobiazgi żadnej niemające wartości i myślała o biednej swjej matce, która może do późna w noc nadweręza wiekiem osłabione oczy nad robotą, aby jej dać środek dalszego kształcenia się.

Nadszedł wreszcie czas ukończenia pensyi. Jadwiga i Leontyna wyszły z niej jednocześnie; natychmiast zjawił się pretendent do ręki tej ostatniej. Człowiek młody, bogaty, świetnie zajmujący stanowisko w świecie. Rodzice Leontyny i ona sama nic przeciwko temu nie mieli, to też dziewczyna kreśliła koleżankom z zapalem obrazy przepychu i szczęścia, które ją czeka u progu nowego życia. Opowiadała, jak to zagranicą, gdzie po ślubie z mężem się uda, zwracać będzie na siebie uwagę strojem i urodą; jakie bale, widowiska, przyjemności ją czekają. Nie pomyślała jednak ani przez chwilę, że niezawsze życie dawać może same róże tylko. Ona wierzyła z całą prostotą, że wiecznie szczęśliwą być musi.

Pewnego dnia wreszcie ujrzały koleżanki świetny szereg powozów, sunący wspaniale do kościoła, gdzie miał się odbyć ślub Leontyny. Kilka towarzyszek, a w ich liczbie i Jadwiga, udały się w ślad za wesołym orszakiem. I widziała smutna i blada dziewczyna, jak po odbytu obrzędzie, wśród całego ogrodu wonnych kwiatów, świeateł i kadzidła, przechodziła tamta przez kościół, wsparta już na ramieniu młodego męża, jaśniejąca dumą i szczęściem. Za nią ruszyły parami bogato postrójone drużki i družbowie, a wszystko wesołe, szczęśliwe, rozbawione...

Ciemno już i cicho, światła jedne po drugich pogaszono, a dziadek kościelny kluczami pobrząkuje, dając tem do zrozumienia, że kościół zamykać już pora. A tam w cieniu, u jednego z filarów, kłęczący dotychczas jeszcze postać blada.

Głową wsparła o krawędź ławki, i zdaje się modlić, czy też dumać głęboko. Dziadek dotknął jej ramienia; zerwała się prędko, przecierając oczy, jak ze snu; przeżegnała się i chwiejnym krokiem opuściła dom Boży. W uszach jej brzmiały dotychczas skoczne dźwięki wesełnego marsza, snuły się w wyobraźni urocze postacie družek, a ponad wszystkiemi jedna, dziecko szczęścia, zawsze tryufująca!... Ciche westchnienie wyrwało się z piersi, dziewczyna znowu wyszeptwała z goryczą: Jakże nierówne są dole ludzkiego żywota.

Nazajutrz dzień był piękny, słoneczny, jakby i pogoda nawet sprzyjała szczęśliwym. Jadwiga po rzewnych i długich pożegnaniach z ukochaną przełożoną i koleżankami, wyruszyła wreszcie na pociąg kolei, który ją miał unieść do biednej matki na krótko, a potem dalej, w świat szeroki, między obcych — za chlebem. Przybyła zbyt wcześnie; usiadła więc w ustronnym kąciaku salonu podróżnych i znowu przypomniała sobie myśli wczorajsze: Po niejakiem czasie zjawiała się i Leontyna z mężem w bogatym stroju podróżnym. Wiele osób ją przeprowadzało i życzyło wesołego spędzenia czasu zagranicą. Leontyna spostrzegła natychmiast ukrytą w kąciaku koleżankę, podbiegła więc do niej szybko, wołając:

— Jadwisia kochana! czy i ty jedziesz także, do domu zapewne? a czemu nie wieszujesz mi i nie życzysz szczęścia, jak inni?

Na te słowa, Jadwiga podniosła się szybko wzruszona i w długim, serdecznym uścisku wyszeptwała młodej mężatce kilka słów gorącej życzliwości. Wtém dał się słyszeć dzwonek, Leontynę wezwano szybko do wagonu, a tuż za nią wsiadła i Jadwiga do innego pociągu. Jeden, dwa, trzy dzwonki; świst lokomotywy; kilka kłębów dymu, i wszystko znikło w dalekiej przestrzeni, unosząc w dwie przeciwne drogi życia dwie istoty na jednej dotąd siedzące ławce.

Tak minęło lat kilka. Jadwiga oddała się zawodowi nauczycielki, z prawdziwym dla ludzkości pożytkiem. Młode serca i głowy, które rozwija, lgną do niej całą duszą i ona kocha też je bardzo. Z zapałem oddaje się swemu zajęciu i widzi z radością, że ta teraźniejszość, o której w przeszłości myślała z goryczą, nie jest znów tak bardzo straszna. Praca stała się najmiłą towarzyszką, powiernicą i pociechą życia. Dojrzała już duchem, pojmuje cele i obowiązki życia, a najwyszą jej radością jest ich wypełnianie. Jednakże, o słabości ludzka! Bywają chwile, w których jaskrawemi barwy przesuwa się znowu w jej oczach ów pamiętny orszak wesełny i uśmiechnięta do szczęścia postać panny młodej. Tamta ma już dom swój, rodzinę, a ona — między obcymi.

Po latach ośmiu pracy usilnej, udało się wreszcie Jadwidze, urzeczywistnić miłe swoje marzenia. Zebrała bardzo skromną wprawdzie, lecz zabezpieczającą ją od niedostatku sumkę; postanowiła wyuczyć się koronkarstwa, aby w inny sposób, lecz zawsze zarabiać coś mogła; i zamieszkać już razem z matką, by osłodzić choć ostatnie dni jej życia, trawione dotąd samotnością i cichą tęsknotą. I oto już się znajduje w jej objęciach, a smutna staruszka łzami szczęścia oblewa powrót swój jedynej na świecie pociechy. W cichej radości tak im dwa dni ubiegło, że się nie obejrzały. Wreszcie Jadwiga powiedziała matce, że pójdzie wyszukać ładne jasne mięszkanko, w któremby mateczka jej lżej odetchnąć mogła, niż w dotychczasowym dość ciemnym i wilgotnym. Wybiegła i zdało jej się, że się na skrzydłach unosi, tak ją nieszczęśliwiała myśl, iż teraz dopiero będzie w stanie wywdzięczyć się ukochanej matce za tyle trosk i niedospanych niegdyś nocy. A przytém wypełniała dobrze swoje obowiązki, sumiennie więc jej było czyste i spokojne, a czyż jest większe nad to szczęście na ziemi?

Skierowała swe kroki przez ogród publiczny, w którym z powodu słonecznej, wiosennej pogody, mnóstwo było przechadzających się. Mało zwykle zwracała na przechodniów uwagi, ale tą razą uderzyła ją twarz dziwnie blada i smutna osoby młodej, siedzącej na jednej z bocznych ławek. Już miała przejść dalej, gdy znowu, jakby ją coś tknęło, obróciła się do tej ławki i stanęła niepewna, oczom swym niewierząca. A wtém blada twarz nieznanomiej lekkim zabarwiła się ru-

mieńcem, oczy błysnęły radośniej, i cichy szept: „Jadwiga” rozległ się w powietrzu.

— Leontynka! czy to być może, czy mię wzrok nie mylił! — krzyknęła, rzucając jej się na szyję, Jadwiga. Wtém usunęła się zmieszana na widok kłaniającego się jej mężczyzny, z twarzą nacechowaną głębokim smutkiem i powagą.

— Prawda, toż wy się nie znacie — rzekła słabym głosem Leontyna — to mój mąż, a to jedna z moich dawnych, dobrych koleżanek. Usiądź, Jadwisiu, tu blisko koło mnie, abym ci popatrzyła w oczy i przekonała się, czy wszyscy tak się pozmieniali, jak ja na przykład.

Nienapróżno to mówiła. Jadwiga, z przerażeniem i boleścią spoglądała na tę twarz, lat temu kilka zaledwie, tryskającą zdrowiem, szczęściem, pięknnością, teraz zmienioną straszliwie, do niepoznania. Zdawało się jej chwilami, że śni lub marzy. Czy to być może, dziecko szczęścia tak godne niegdyś zazdrości?

— Cóż się tak zadumała i wpatrzyła we mnie, Jadziu moja — przerwała jej myśli Leontynka. — Znajdujesz pewnie znaczną we mnie zmianę, ale to nic; doktorowie mówią, że mi cieplejszy klimat z pewnością zdrowie powróci, to też wybraliśmy się do Włoch, a tu jesteśmy przejazdem tylko, musiałam dwa dni odpocząć, bo mię ta podróż zmęczyła już cokolwiek. O, Jadziu! jak ja pragnę żyć... jak pragnę koniecznie...

(d. n.)

Rozwiązanie zagadki z dziejów literatury

nadesłane przez 13 letniego Gołębia z nad Warty i nagrodą odznaczone.

Kazimierz Brodziński urodził się 8 Marca 1791 roku w Galicyi, w obwodzie Bocheńskim, w wsi Królówce, dla tego też na niektórych utworach swoich podpisywał się Kazimierz z Królówki. W dzieciństwie tak był wrażliwy i słaby, że doktor domowy nie obiecywał mu więcej niż tydzień życia — lecz inaczej się stało; doktor wkrótce umarł, a Brodziński wśród trudów i niewygód przeżył lat 44. Straciwszy bardzo wczesnie matkę, dzieciństwo miał smutne; śmierć jej zatrzymała mu pobyt w domu, Niemiec, nauczyciel w Lipnicy Murowaniej, gdzie Brodziński pobierał początkowe nauki, uprzykrzał mu szkołę. Uciekał więc Kazimierz na pola i łąki, gdzie bawiąc się z dziećmi wiejskimi, przepędzał swobodne chwile. Lud wiejski, widząc jego nieszczęśliwą dolę, litował się nad biednym dzieckiem; podczas choroby kobiety wiejskie pielęgnowały go czule i troskliwie.

Marzył on wśród pięknych gór, otaczających Lipnicę, a później uczucia, których tam doznawał, wylewał na papier i w poezjach swoich przedstawiał cudną, otaczającą go w dzieciństwie przyrodę. Oddany do szkół w Tarnowie, stracił i tę pociechę, a natomiast czekały go nowe zgrzyoty. W szkołach galicyjskich wykładano wszystko po niemiecku, a Brodziński języka tego nie umiał, znosił na stancyach głód, zimno i tysiączne przykrości, prosił nadewszystko polskich ksiązek, lecz takowych nawet poza szkołą uczniom czytać nie dozwolono, nadto Brodziński z nikąd ich dostać nie mógł. Pragnął on nadewszystko poznać dokładnie język ojczysty i jego literaturę, ale brakowało mu wskazówek. Mimo to, nie zważając na przeszkody, pracował nad sobą i w końcu doszedł do celu. Pewnego razu Brodziński znalazł na strychu stare książki, a pomiędzy niemi powinnowania wierszem, z nich poznał budowę wiersza i sam bardzo wczesnie rymy układać zaczął.

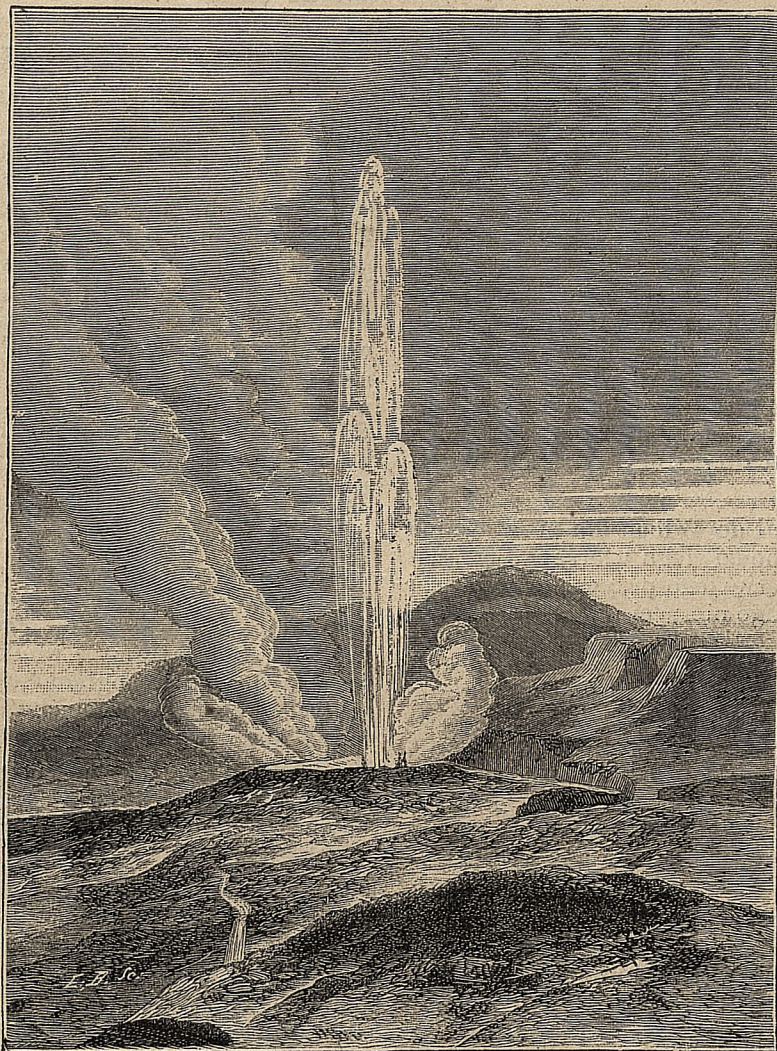
Roku 1809 zaciągnął się do wojska księstwa warszawskiego i trafem dostał się do kompanii Wincentego Reklewskiego, autora „Pieśni wiejskich”.

— Odbył kompanią r. 1812, stracił podczas niej swego dowódcę, wielu przyjaciół i brata Andrzeja. Wśród ciężkiej zimy, kiedy połowa wielkiej armii wyginęła, Brodziński pie-

szko, bez futra, wrócił z wojskiem Napoleona i podążył pod Lipsk, gdzie raniony dostał się do pruskiej niewoli.

Skoro powrócił do kraju, znalazł się bez dachu i dopiero po jakimś czasie otrzymał urząd w komisji likwidacyjnej w Warszawie. W tym czasie, Brodziński rozpoczął na dobre pracować na polu literackim: pisał różne rozprawy, jak np. „O życiu i Pismach Wincentego Reklewskiego”. „O metryczności i rytmiczności języka polskiego”. „O klasycyzmie i romantyczności” i o elegii, satyrze, krytyce, egzaltacji, entuzjazmie, o narodowości i t. p. i nadto zajął się poezją.

„Wartko wóz toczą parszające konie,
„Mijają mostki i wzgórki i błonie,
„Cała rodzina siedzi zadumana,
„Wesołość tylko nie opuszcza Jana,
„Bo radość w sercu utajoną żywi,
„Że dwie rodziny w rychłe uszczęśliwi.
„Przydrożne lipy długie ścielą cienie,
„Gore nad lasem niebieskie sklepienie,
„I rzeźwą wonią tchnie wieczór pogodny.
„Jest blisko drogi gościniec wygodny,



Wielki gejzer w Islandyi (str. 218).

Jako poeta, pierwszy zniżył się z wyżyn klasycyzmu do chaty wiejskiej, pierwszy opiewał naturę, t. j. był pierwszym romantykiem w Polsce. On to pierwszy poznał się na dziełach Mickiewicza i pierwszy dał poklask geniuszowi wieszczki naszego. Tłómaczył też Brodziński na język polski pieśni i podania ludowe narodów słowiańskich i Greków.

Do najlepszych jego utworów poetycznych należą: „Wiesław” sielanka krakowska, „Oldyna”, duma galicyjska, „Pieśni rolników” oraz niektóre z wierszy lirycznych.

Wielka prostota przebija w jego poezjach o czém łatwo się przekonać, odczytawszy ten ustęp z „Wiesława”:

„Tam każą stanąć, bo choć wioska blizka,
„Jednak ją dzielą zarosłe stawiska.
„Przeto, nim w okół jadący okraży,
„Pieszki ścieżkami trzykroć pierwój zdąży.
„Idą więc wszyscy ścieżkami wesoło,
„A wóz pył wznosi, okrażając koło”. i t. d.

albo z „Oldyny”:

„Na czarnej górze, w powalonym lesie,
„Widać z modrzewia kościółek ubogi,
„Z szumem liś suchy wiatr w doliny niesie,

„Wozy wzruszonym pyłem znaczą drogi.
 „Ustały w polu za pługiem odgłosy,
 „Pomału dążą z pola ciężkie wołki,
 „Niosą sieroty uronione kłosy,
 „A dzień żegnają jodłowe wierchołki.
 „Chmurki igrając po tarczy księżycy,
 „Przechodnie cienie ścielą na pnie suche,
 „Z gór wędrująca kłótniwa krynica
 „Z głośnym mrużeniem mija pola głucho” i t. d.

lub z „Pieśni rolników” wiersz: „Do Boga przed bitwą”

„O Panie, ojcowie sami
 „Włożyli na mnie tę zbroję,
 „Abym z nieprzyjaciółami
 „Walczył w święte Imię Twoje.

„Ty cierpiałeś za lud cały,
 „Niech cierpię za kraj kochany;
 „Wzmagaj wśród bitwy zapaly,
 „Daj cierpliwie znosić rany.

„Jeśli poledz trzeba będzie,
 „Święta, Panie, Twoja wola;
 „Jeśli w żywych zostać rzędzie,
 „Miłe żyzne ojców pola”.

Oprócz tego, Brodziński wielkie położył zasługi jako profesor literatury polskiej. Z początku dawał tylko lekcje prywatne, później w 1818 r. gdy wydał sławną rozprawę „O klasyczności i romantyczności”, został wezwany na profesora historii literatury polskiej w szkole męzkiej na Żoliborzu i w seminaryum nauczycielskiem pijarskiem, a w końcu r. 1822 wezwano go na profesora literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim.

W 1824 r. Brodziński jeździł do Włoch dla poratowania zdrowia. Z tego to czasu pochodzi jego wiersz: „Powrót z Włoch”, w którym przebija się jego przywiązanie do rodzinnego kraju i autor mówi, że go nie nęci obczyzna, w tych słowach:

„Już wy mnie nie znęćcie, lesperyjskie gaje!
 „Bez żalu wasz hołdownik z wami się rozstaje;
 „Tak się od was oddalam, jak za rzymskich czasów
 „Scyta, gdy dań złożywszy, śpieszył do swych lasów” i t. d.

Redagował jakiś czas „Pamiętnik Warszawski” i w roku 1834 „Magazyn Powszechny”.

Czując się słabym, wybrał się do Karolowych warów i przejeżdżając przez Drezno, umarł tam na suchoty, których zaród nosił od kampanii 12 r.; skonał na ręku swego przyjaciela i współtowarzysza pióra, Edwarda Antoniego Odyńca, dnia 10 Października 1835 roku.

Według warunków konkursu, Gołąb z nad Warty może sobie wybrać książkę z katalogów wydawnictw dla młodzieży pp. Gebethnera i Wolffa, Orgelbranda lub Hösicka. Prosimy więc, aby nadesłał do naszej redakcyi tytuł tej książki, którą natychmiast otrzyma. Oprócz tego, bardzo dobre rozwiązania nadesłali: 10 letnia Bławatka z nad Horynia — 14 letnie Ciekawe dziecko — 9 letni Figielek — 14 letnia Gołąbka biała — 11 letni Grab — 11 letnia Gwiazdka z Horolu — 15 letni Heliotrop — 12 letnia Jedynaczka — 12 letni Jaguar — 14 letnia Jutrzenka — 13 letnia Laszka — 12 letni Lirnik z nad Łódki — 13 letnia Makolągwa — 12 letnia Muszka — 12 letnia Noc Świętojańska — 14 letnia Niezapominajka — 14 letnia Niezapominajka z nad Narwi — 12 letnia Niezapominajka z nad Horynia — 12 letnia Prymulka różowa — 14 letni Pegaz skrzydlaty — 11 letnia Różyczka biała z Wołynia — 13 letnia Stokrotka z Zofiówki — 13 letni Szparag, wspólnie z 12 letnią Marchewką — 11 letnia Szczebiotka — 13 letnia Tuja — 12 letnia Wytrwałość — 10 letnia Wyrwiduska — 14 letni Władko z Sandomierza — 14 letni Zawierucha — 12 letnia Zorza — 11 letnia Zwinną Łania.

Pseudonimy podane są podług porządku alfabetycznego. Na szczególne odznaczenie zasługuje wypracowanie Władka z Sandomierza, lecz było za długie, nieraz już tłómaczyliśmy, że za takie rozwlekłe opowiadania, choćby najstaranniej pisane, nagrody przyznać nie możemy.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

III.

Jak wjeżdżał margrabia Zygmunt.

— Otóż zaraz z pośpiechem rozkazał pan nasz, drogi i mosty w dobrach swych, koło głównego gościńca leżących, naprawiać, bo mówił, że kto wie, czyli nie tędy królewicz Zygmunt jechać będzie. Jakoż niezadługo wieść gruchnęła po okolicy, że jedzie królewicz Zygmunt! i hałas a gwar wielki, napętnił zamek, i okolice, i Małopolskę całą. Krakowianie oddawna wielce życzliwie oczekiwali na męża królewiny Maryi. Starostowie królewscy wiedli mu zewsząd zbrojne i strojne hufce. Arcybiskup Bodzanta, Sędziwoj z Szubina, wojewoda kaliski, i Domarat, generalny starosta Wielkopolski, mieli jako przyboczni służyć doradcy. Nasz pan Garbowski ze wszystkimi trzema synkami i panami dworskimi, wystrojoni aż łuny od nich były, aż się w oczach mieniło i lśniło, patrząc na nich, dosiedli dzielnych rumaków i jechali także na przyjęcie przyszłego króla tak, jak wszyscy okoliczni panowie, spotykający go w miarę, jak się do ich włości przybliżał. Pani wyprawiała pana i paniczów, bacznie oglądając, czy wszystkie stroje na nich w porządku. My, milcząc, aż drżałyśmy z wielkiej ochoty, aby także wspaniałości owego wjazdu oglądać, co że niemożliwem było, więc wdychałyśmy tylko pocichu. Wtém dobra pani, dojrawszy naszej skrytej ochoty, roześmieje się i rzecze:

— Panie mężu, nie możnaby też pomiędzy ów lud, który tam będzie, choć kilka z naszych dziewczątek wmieścić? bo chyba posną mi tu z ciekawości za owém widokiem?

My wszystkie aż jednym głosem krzyknęłyśmy z radości i biegły dobrej pani dziękować za te słowa, ale pan rzecze:

— Co znów, nie może to być, bo tam żadnych białych głów nie będzie.

My już znowu straciwszy nadzieję, patrzymy przecież na panią, jak w tęczę, a ona widząc to dobrze, śmieje się z nas, a powiada:

— Ej zaś, słyszę, iż każda włość i okolica tutejsza przesadza się, aby coraz dowcipniej królewicza witać, a cóż, gdyby sól i chleb podając, nie starcy, jedno dziewczątka ją podały? tożby koncept był?

Pan Garbowski spojrział na żonę i zastanowił się, a my nuż skakać z radości, aż on rzecze:

— Koncept bo koncept, hm, bodaj to z białogłowami, co zechcą, to i człowiekowi wmówią. Ale czy to znów z innych względów nie będzie w tём co nie przystojnego?

Przy tych ostatnich słowach, pan Garbowski spojrział znacząco na panią, a choć nie więcej nie powiedział, przecież i my dorozumiały się, że pan nie chciał się zbytecznie na serdeczność dla królewicza wysadzać, a to dla tego, że w sercu prawdziwie nie miał dlań serdeczności i że Wielkopolanie nie byli mu bardzo przychylni, więc nie przystało tak znacznemu panu, jak pan Garbowski, wysuwać się w przyjęciu na czoło innych. Ale nasza pani i na ten kłopot znalazła radę i rzecze:

— Bo nie trzeba, by od nikogo szczególnego witaly, ale tak po wiejsku je przystroić i niech przywitają, jako krako-

wianki, z pomiędzy gromady wiejskiej wyszedłszy przed nadjeżdżającego królewicza, a że mają dworskie obejście, to koncept będzie zgrabniejszy, niż gdyby prawdziwe wiejskie dziewczęta były, gdyż królewicz ten, ile słyse, wykwinnych wielu upodobań jest.

Pan Garbowski, na tę mądrą radę swój pani, już tylko ramionami ruszył, ale i uśmiechnął się dobrotliwie, a potem zaraz uszy sobie zatknął czapką i ręką, a słusznie, okrutny krzyk radosny powstał między nami o to, które pójdą, gdyż każdy rozumiał, że wszystkie piętnaście iść nie mogą, i dla tego, iż przy pani pozostać należy, i dla tego też, że byłoby to nazbyt znaczącem, gdyby cały fraucymer pani Garbowski witał i został poznany przez panów szlachtę okoliczną. Więc znów patrzymy w panią, jak w tęczę, a pani powiada:

— Trzy pójdą aby innym opowiedziały: ciągnąć losy, kto? — i wnet podało się pani dwanaście białych kłębuszków a trzy zielone, pan młodszy dworzanin Jaśko z Dębinki podał żwawo z ukłonem piękną swoją nowiuteczkę czapkę amarantową...

— Ojciec! pan Ojciec! podał czapkę! — wykrzyknęło radośnie Złote pacholę, podskakując na kolanach matki i ściskając ją ze wszystkich sił za szyję.

— Mów, matko mów, co pani Garbowska zrobiła z kłębuszkami i z ojca czapką?

— Pani, włożyła kłębuszki w czapkę, zmieszała je, nakryła połą swego *jaka* i kazała nam ciągnąć losy.

— Najprzód siedm, potem ośm, bo piętnaście rąk nie zmieści się odrazu! — powiedziała pani.

My sięgnęły i z pierwszej partyi wyciągnęłam zielony kłębuszek ja jedna tylko.

— Niecnota mała z Grabek! jej że to małcowi takiemu szczęśliwy los wypadł! — narzekały zawiedzione panny, ale bez brzydkięj zawiści, bo wszystkie były dobre panienki. Ja skakałam w górę z radości z moim kłębkim w rękę. Tymczasem losowano znowu i wypadł los na Badzianównę i Zaborską. A pan rzece:

— No, moja jejmość, czyżże sobie z tém, jak chcesz, gdyż my jedziemy już, ponieważ czas oznaczony przez panów braci nadszedł.

— Jedź wasza Miłość z Bogiem, skoro mamy pozwolenie, już my sobie zresztą radę damy, — rzekła pani, i pojechali panowie strojno, zbrojno, huczno i świetnie. My zaś pod okiem pani ochmistrzyni ustroiłyśmy się prześlicznie, ale nie na dworski sposób, tylko po krakowsku, a bogato; Bodzianówna i Zaborska w pąsowe spódniczki czarno haftowane, czarne aksamitne gorseciki złotem sznurowane na białych, cienkich, złotem szytych koszulkach, a ja takież sam miałam staniczek i koszulkę, ale niebieską srebrem haftowaną spódniczkę. Wszystkie trzy miałyśmy na głowach wieńce z róż i pęki różnokolorowych wstążek w warkoczach. Tak ustrojone stanęłyśmy przed samą panią. Pani spojrziała na nas bystro i powiada:

— A nie ma to niezapominajek sporo pod ręką?

— Są, gdzieżby nie było, wszak codzień idąc na przechadzki przynosimy pęki kwiatów, a i panowie dworscy, którzy tylko na narzeczoną wśród naszych panien, codzień bukiety jej przynoszą.

— Tedy zróbcie prędko wieniec na głowę z niezapominajek dla małej panny Grabkowskiej, zamiast róż, bo tak lepiej przypada, — powiedziała pani.

W jednej chwili upleciono mi śliczny wieniec z najświeższych niezapominajek, a tymczasem pomiędzy panią samą i panią Zbrożkową odbyła się walna narada o nasze obuwie, bo jako Krakowianki, miałyśmy nowe wprawdzie i ładne ale prawdziwe płytkie chodaczki na bosych nogach. Pani sama pokręciła jakoś na to głowę, a pani Zbrożkowa, wierna sługa, o dobro i honor domu dbająca i rozumiejąca rzecz przytém, mówiła tak:

— Ejże, łaskawa i miłościwa pani moja, wszak panny mają niby z gromady wioskowej wystąpić, tedy gdy im włożymy pończochy i trzewiczki modne, czyli to nie wyda, co zacz one są? a nie narazi?...

Pani Zbrożkowa nie śmiała powiedzieć wyraźnie, kogoby to narazić miało, ale myślała oczywiście o niechęci szlachty Wielkopolskiej dla królewicza, i o tém, że nie wypadało panu Garbowskiemu występować naprzód ze zbyt znacznemi grzecznościami dla królewicza, którego z serca nie pragnął wcale na króla, a zgadzał się nań jedynie, aby rozdwojenia i niezgody nie podniecać w narodzie. Pani Garbowska pomyślała chwilkę i rzece:

— A jakież to panny miały trzewiczki na tej żartobliwej ochocie u mnie, na ostatnie moje imieniny, kiedy wieśniacze żartem przywdziały stroje?

Pani Zbrożkowa machnęła ręką śmiejąc się:

— Ej, to tylko żartem, proszę Miłościwój pani — rzece — ja im tak wymyśliłam, że sobie same zrobiły udane chodaczki z kosztownego aksamitu, który nam od robót pozostał, aby było dworsko i sielsko zarazem!..

— Otóż bardzo to dobrze wymyśliłaś — rzece pani żywo — niechże panny włożą teraz też same aksamitne chodaczki, a ty otwórz tę oto w skrzyni mojej przegrodę i daj im po parze moich własnych jedwabnych pończoszek takiego koloru, jak ciało, tedy będzie i sielsko i dworsko zarazem, i królewicz, jeżeli się na rzeczy nie pozna, to się zachwyci, iż nasze krakowianki tak pięknie chodzą, a jeżeli się pozna, to się jeszcze bardziej zachwyci i ciekawy będzie, kto tam tak pięknie dziewczuszki wiejskie udaje. Ale się nie dowie, bo los padł na takie dwie panny właśnie które od niedawna do nas przyjechały i w okolicy są nieznane, małej panny z Grabek też nikt nie zna, bo maledz z niej jest, a nasi panowie dworscy nie wydadzą tajemnicy.

Tak powiedziała pani, i na tém stanęło. Przywdziewszy kosztowne pończoski, które już odtąd stały się naszymi, wyglądałyśmy zupełnie jakby wcale bez pończoszek wiejskie dziewczyny, a chodaczki aksamitne, też doskonale udawały zwykle skórzane chodaki...

— Pokaż, matko, pokaż pończoski jedwabne i chodaczki z aksamitu, pokaz, jeżeli mię kochasz! — wołało Złote pachole, ściskając matkę, i póty ściskało przy śmiechu dziadów i matki, aż ta musiała wstać i dostać 'ze skrzyni kosztownej to, o co chłopiec prosił. Oglądano tedy z wielkiem zajęciem, po wiele razy oglądane już tak samo zabytki owe z niezbyt dawnych przecież młodocianych latek pani Beaty, a oglądało nie tylko Złote pacholę lecz i starzy dziadkowie oglądali także, z tym wesołym uśmiechem na ustach który dowodzi, że starzy prawdziwie mogą odmładzać się młodością swych dzieciak poczciwych. Z niewypowiedzianą uciechą malca, babka włożyła mu owe cudowne obuwie, przypadające, jak raz do jego nóżek, i chłopczyzna biegał w nich i skakał po komnacie, składając dworskie ukłony matce i dziadom, śmiejącym się do niego, aż nareszcie sam zdjął szacowne i pamiątkowe obuwie, złożył je i obwinął w czystą szmatkę starannie tak, jak nieraz już to robił, i oddał matce do schowania do skrzyni. Stał patrząc uważnie, gdy zamykała i klucz wieszala na sarnim różku w głębi komnaty, a potem skoczył do matki wołając:

— Matusiu! ale jakże to margrabia królewicz Zygmunt wjeżdżał wtedy do Polski? powiedz!

— A prawda! zapomniałam o królewicu Zyguncie, — powiedziała śmiejąc się pani Beata, i znowu siadłszy na niskim stołku i synka wzięwszy na kolana, tak mu opowiadała:

— Ustroiwszy się tedy, wysłuchałyśmy rozkazów samej pani, dopiero wedle tych rozkazów pobiegłyśmy trzy i pani Zbrożkowa czwarta, ile nadażyć ona mogła, do wójtowej chaty, przed którą zbierała się gromada wiejska, mająca iść na witanie. Gdyśmy dobiegły, prawie że już ruszano, tylko sam wójt się ociągał, niby niechcący, a w istocie dla tego, że gdy panowie przejeżdżali, tedy z rozkazu pańskiego skoczywszy, dał mu wiedzieć pan Jaśko z Dębinki, młodszy dworzanin, aby czekał z wyruszeniem na rozkaz samej pani...

— Ojciec! to pan Ojciec! dawał o tém wiedzieć wójtowi! wołało znów Złote pacholę, machając nóżkami z wielką radością, na matczyńskich kolanach. Chłopczyzna słyssał to wszyst-

ko już nieraz, i właśnie zdawało się, że za każdym razem ciekawiej słuchał, zwyczajnie jak wszystkie dzieci słuchają ulubionych bajek. Matka ściskając go, mówiła dalej:

— Tak to pan ojciec znać dawał wójtowi, a w chwilę później myśmy nadbiegły. Pani Zbrozkowa tylko krótką chwilę poszeptała coś z wójtem i zaraz poszła w drogę gromada, i my wśród niej. Wójt pogadał z tym i z owym pocichu, i zaraz najstarsi i najpoważniejsi pokaźnie wystrojeni kmiecie otoczyli nas, i szliśmy żyło. Po chwili dopędziło nas w skok kilka dziewczynek zadyszanych z pośpiechu i wyspawszy nam w fartuchy z własnych fartuchów świeżo narwanego kwiecica, róż i niezapominajek, uciekły coprędzej z rozkazu starszych, i jużei stanęliśmy wszyscy rzędem na gościńcu, a na przedzie my trzy, Bodzianówna i Zaborska, i ja pomiędzy nimi z niezapominajkami w białym jedwabnym fartuszkuz.

Ledwośmy stanęli, już przypada na ognistym koniku pan młodszy dworzanin Jaśko z Dębinki i woła:

— Z rozkazu Jaśnie wielmożnego pana cofnąć się wypada wiejskim dziewczętom trzy kroki w tył, a dopiero za przyjazdem królewicza, wystąpić nagle, ku lepszemu efektowi, naprzód!

Kmiecie uśmiechnęli się tylko na te słowa, bo już co oni, to dobrze wiedzieli, jakie to my wiejskie były dziewczęta, wtem pan Jaśko z Dębinki galopem znikł i zaraz wołano:

— Jedzie! jedzie!
Jakoż jechał.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Nikt już dziś nie wierzy w historiją Popiela, pożartego przez myszy. Trudno nawet pojąć, jakim sposobem te drobne, lekkie zwierzątka mogły podać myśl do podobnej bajki. Nie zawsze jednak myszy bywają tak potulne, dawniej nieraz i w Europie niezmiernie mnóstwo myszy wędrowało tak zupełnie jak szarańcza i niesłychane szkody wyrządzało. I teraz jeszcze wypadki takie przytrafiają się w innych częściach świata; mysz jest mała, słaba, z jedną lub dwiema łatwo sobie dać radę, lecz gdy się zbierze wielka mnogość tych drobnych stworzeń, to rzecz wcale inna, wtedy mogą się stać naprawdę groźne.

Pewien podróżnik opisuje niezmiernie ciekawe szczegóły o myszach w Brazylii. Myszy te, odrębnego gatunku, żyją zwykle w norach podziemnych, w polu, jedzą wszystko, ziarno, korzonki, mięso, bywają rozmiarów rozmaitych, czasem nie większe od naszych domowych, a czasem dochodzą wielkości szczurów. Najulubieńszym ich przysmakiem jest nasienie pewnej rośliny, która nie kwitnie co roku, lecz tylko raz na lat kilka, niekiedy zaś nie kwitnie wcale i nie wydaje nasion przez lat kilkanaście, dwadzieścia a nawet i trzydzieści. W takim czasie myszy nikną prawie zupełnie i przyrodnicy nieraz dobrze się muszą naszukać, nim odnajdą jeden okaz do swoich zbiorów zoologicznych.

Gdy jednak ulubiona ich roślina, zwana w terminologii naukowej *cresciuma*, zakwitnie i ziarna dojrzeją, myszki wyłażą ze swoich kryjówek i tak się zaczynają straszliwie mnożyć, że wkrótce stają się klęską prawdziwą dla całej okolicy. Wyjadają najpierw do szczętu owe nasiona, potem wędrują ogromnemi gromadami z miejsca na miejsce i wszystko po drodze pożerają. Gdy przejdą przez pole zasiane kukurydzą, lub kartoflami zasadzone, pozostawiają po sobie tylko

czarną rolę; czego nie zjedzą, to wyciągną i zanoszą do swoich podziemnych kryjówek. Zboża, warzywa, wszystko niszczą do szczętu, w końcu nachodzą mieszkania ludzkie i napadają zwierzęta domowe. Wieprze tuczone pożerają żywcem, kaleczą bydło, odgryzają kopyta krowom i owcom, w mieszkaniu nic się od nich nie uchroni, co nie jest z żelaza, kamienia lub szkła. Sprzęty, odzienie, obuwie, gryzą, pożerają.

Mieszkańcy wodzą z niemi walkę zaciętą, zabijają setkami, nic to jednak nie pomaga, wojsko mysie póty nie ustępuje z placu, póki wszystkiego nie zniszczy do szczętu, wówczas wędruje dalej, pozostawiając pustkę za sobą. Daremnie koty próbują stawać do walki z natarczywemi myszami, rady im dać nie mogą i uciekają, jak niepyszne. Podróżnik Ihering, który był świadkiem tego najazdu myszy w pewnej miejscowości w Brazylii, słusznie powiada, że gdyby owa roślina, której ziarna tak myszom smakują, zakwitła jakim przypadkiem raz po raz przez lat kilka, to kraj cały stałby się pastwą tych żarłocznych stworzeń, wszystkie zwierzęta, a nawet i ludzie musieliby uciekać przed niemi.

Proza i poezya

(Od niezapominajki białej dla kochanej mateczki).

Ty liro moja złota, coś mi wiernie służyła w tej pielgrzymce żywota przez ciernie i urwiska.

Ej, nie jedną radość rzewną, nie małą a błogą, przez cię, moja liro niebogo, poznało serce!

Ułożyć z tej prozy dwie strofki czterowerszowe.

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Zawieruchy dla Krakowianina).

Stanowię połowę Taty, nie ma mnie koń, wół, ani pies stoję na końcu chat, świat bezemnie nie miałby końca.

Ozemże jestem?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

Szarady:

Ko — la — sy.

Łamigłówki kryształowej:

				K				
				K	R	A		
			O	Ł	A	W	A	
		Ś	W	I	S	T	A	K
K	R	A	S	I	Ń	S	K	I
	G	L	I	Ń	S	K	I	
		P	A	S	Z	A		
			O	K	A			
				I				

SPROSTOWANIE.

W Nrze 26 Wieczorów na str. 203 i 204 zamiast: *Van Mons* czytać należy *Van Mons*.

TREŚĆ: Kolibry (z drzew.) — Pająk wierszyk p. Antoniego Czajkowskiego — Wielki gejzer w Islandyi (z drzew.) — Dziecko szczęścia p. Maryą Pomorską. — Rozwiązanie zagadki z dziejów literatury. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Nieuczynny Henio (z drzew.) — Róża wierszyk — Niewdzięczność. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przepłatana. — Łamigłówka, rozwiązanie. — Skrzynka listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.

Nieuczynny Henio.

Henio miał taki brzydki zwyczaj, że nigdy nie pozwolił nikomu dotknąć swoich zabawek. Raz braciszek jego Władzio prosił go grzecznie:

— Pozwól mi ustawić swoich żołnierzy, ty teraz nie mi się nie bawisz.

— Nie bawię się — odpowiedział Henio — ale i tobie nie dam, bo to żołnierze moi. Baw się sobie swojemi zabawkami.

— Chodź, przewiozę cię troszeczkę, tak doskonale niesie.

— Dobrze — zawołała Mania — nigdy w życiu nie jeździłam na koniku, ale widziałam, jak panie jeżdżą. Poczekaj, odniosę tylko lalkę do pokoju, bo boję się brać ją z sobą na konika, żeby jej się co złego nie stało.

I przezorna Mania położyła laleczkę na komodzie, potem wybiegła, a Władzio pomógł siostrzyczce wsiąść na konika i obwodził ją trzy razy naokoło klombu. Przez ten czas Henio stał pod drzewem i patrzył na nich zadasany. Przypomniawszy sobie, jak to on wczoraj nie chciał



Nieuczynny Henio.

— Może chcesz, Władziu, pobawić się mojem gospodarstwem? — rzekła, słysząc to, Mania, siostrzyczka obu chłopczyków.

Władzio podziękował Mani i bawił się razem z nią gospodarstwem, a Henia nie prosił już więcej o żołnierzy. Nazajutrz przyjechał dziadunio tych dzieci i przywiózł wszystkim trojgu śliczne podarunki. Mania dostała piękną lalkę, Henio obręcz i ogromną piłkę kolorową, a Władzio konia na kółkach, przepysznego konia, na którym można było jeździć naprawdę.

Dzieci uszczęśliwione wybiegły z zabawkami swemi do ogrodu, Mania trzymała lalkę na ręku, napatrzeć się na nią nie mogła, Henio podrzucał piłkę, to znów obręcz toczył, a Władzio przejeżdżał się na koniku. Po chwili zsiadł i rzekł do Mani:

dać swoich żołnierzy Władziowi i teraz nie śmiał go nawet poprosić, ażeby i jemu pozwolił przejechać się na tym ślicznym koniku. Ale jak tylko Mania zsiadła Władzio podbiegł do braciszka i rzekł grzecznie.

— A teraz ty, Heniu, siadaj na konika, czy chcesz?

Henio aż zarumienił się ze zdziwienia i radości, a taką miał przytęm zakłopotaną minkę, że Władzio rozśmiał się, bo odgadł odrazu, o czém braciszek myślał.

— Tobie się pewnie zdawało — powiedział — że ja tak dziś zrobię z konikiem, jak ty wczoraj z żołnierzami, powiem: to konik mój, baw się swojemi zabawkami. I ja naprawdę miałem ochotę to zrobić, pomyślałem sobie: niech Henio wie, jak to niemiło, na drugi raz będzie może grzeczniejszy. A przytęm przypomniałem sobie, co

nam mama codziennie powtarza: *nie czyni drugiemu, co tobie nie miło.*

Henio zawstydził się bardzo i nim wsiadł na konika, przeprosił braciśka, potem obaj bawili się zgodnie nowymi zabawkami, a odtąd już Henio był zawsze grzeczny i uczynny.

RÓŻA.

W ukryciu, w zieleni wznosząca róża,
Biadała, że w chłodnych ciemnościach się nuża;
A wtém, padły trawy pod kosiarza kosą,
Blask słoneczny oblał różę zdobną rosą;
Ujrzy ją dziewczyna, zerwie do warkocza,
Z różyczką na głowie, idzie żąć urocza;
W blaskach nie dotrwała różyczka dnia końca,
Zerwana z gałązki, uwiędła od słońca.

Azet.

NIEWDZIĘCZNOŚĆ.

— Raz, dwa, trzy, cztery; raz, dwa, trzy, cztery — tak liczyła makolągwa jajka, złożone w gniazdeczku, na miękkiej pościółce i wygodnie się na nich usadowiła — strasznie się boję o te moje dziecińy kochane, co tam śpią w tych skorupkach — mówiła dalej — czuwam nad niemi dzień i noc, ale muszę przecież pożywić się trochę, a siedząc tu w gniazdku zginęłabym z głodu. Nieznośne te owady, coby im to szkodziło podlecieć tak blisko, żebym je mogła schwycić dziobkiem nie ruszając się z miejsca.

— A pani makolągwa długo coś dziś bawiła w lesie — odezwała się wiewióreczka, która wyżej nad gniazdkiem, na tém samym drzewie miała swoją dziuplę.

— Dłużej musiałam zabawić — odpowiedziała makolągwa — bo mi się jeść strasznie chciało, a tu nigdzie blisko nie mogłam znaleźć żywności. Ale nic się złego nie stało, Bogu dzięki, są w całości wszystkie moje jajeczka.

— Ba! w całości — rzekła wiewiórka, potrząsając uszkami i ogonem — a kto to może wiedzieć?

— Jakto? — zawołała makolągwa z żywością — alboż ich nie policzyłam? co też to pani wiewiórce w głowie. Są cztery jajka, czy to ja liczyć nie umiem?

— To prawda, cztery jajka leżą w gniazdeczku, ale z dawniejszych trzy tylko pozostało, czwarte jest cudze, przyniósł je w dziobie ptak jakiś, daleko większy od pani makolągwy, złożył w gniazdku, a jedno z tych, co w niem leżały, pochwycił i szybko odleciał.

— Ej, pani wiewiórko, to są jakieś żarty złośliwe, poco mnie darmo straszyć.

— Ależ ja wcale nie żartuję, na własne oczy wszystko to widziałam, siedziałam tu na téj samej gałęzi, bo usłyszawszy szelest, wyskoczyłam z dziupli.

— Okropne rzeczy! okropne rzeczy! — powtarzała strapiiona makolągwa — może to była kukułka. Słysza-

łam ja, że kukułki mają taki zwyczaj, same gniazd nie robią, a jajka oddają innym ptakom na wychowanie. Babcia opowiadała, że już kiedyś w naszym rodzie zdarzyło się takie nieszczęście, niegodziwe piskle kukułcze wyduśliło wszystkie dzieci ciotecznej siostry babci.

— A toż mi pani żal serdecznie, kochana pani makolągwo — rzekła wiewiórka — ale do widzenia, muszę także poszukać sobie podwieczorku.

Mówiąc to, przeskoczyła jednym susem na drugie drzewo i znikła wśród gęstwiny leśnej. Makolągwa zadumała się, nie mogło jęj wyjść z myśli to, co od wiewiórki słyszała, chociaż nie bardzo jęj wierzyła.

— Może téj pocziwój wiewiórce coś się przywidziało — mówiła sobie na pocieszenie — czy to być może, żeby matka rodzona nie chciała sama dzieci wychowywać? nie, nie, ja w te wszystkie bajki o kukułkach nie wierzę.

I siedziała makolągwa spokojnie na jajkach, aż póki się nie wykluły pisklęta. Spostrzegła wprawdzie, że jedno było większe od trojga innych, ale nie zważała na to, dumna była nawet z takiego dorodnego dziecka. Już teraz troskliwa mateczka rzadko kiedy siedziała dłużej w gniazdku, nieustannie musiała latać po lesie i szukać żywności dla piskląt, nietylko dla siebie. Małeństwa rosły, obrastały pierzem i coraz lepszy miały apetyt, a duże pisklę było najżarłoczniejsze; piszczało ciągle, roztwierając dziobek szeroko, ile razy makolągwa przyleciała z pożywieniem, odpychało mniejsze pisklęta i samo chwytalo wszystko. Patrzała raz na to z wyższej gałęzi wiewiórka i rzekła:

— Jak też pani makolągwa może tę przybłądę żywić i hodować tak troskliwie? wszak to oczywiście pisklę kukułcze, własne dzieci pani krzywdzi dla tego żarłoka.

— Ach, moja pani wiewiórko — odpowiedziała makolągwa — najpierw nie wiemy na pewno, czy to nie jest moje własne dziecko, a potem, gdyby tak i było, cóż poradzić? Nie wyrzucę przecież sieroty z gniazda, to biedne stworzenie temu nic nie winno, że je rodzona matka opuściła.

Dnia pewnego smutek wielki spotkał makolągwę, przyleciała z jedzeniem, a tu w gniazdku troje już tylko siedzi piskląt, czwarte leży pod drzewem nieżywe. A było to jedno z trojga mniejszych, duże pisklę kukułcze krzyczało przeraźliwiej jeszcze, niż zwykle i dziobek chciwie roztwierało.

— Co to się stało? — wołała makolągwa z wielkiego przestachu wszystko co przyniosła oddała dużemu pisklęciu, nic już dla reszty nie zostawiając. Ale małe pisklątko piszczały tylko żałośnie, żadne nie umiało objaśnić, jakim sposobem to biedactwo z gniazda wypadło, a kukułka pożerała chciwie i wołała tylko, że jeszcze bardzo głodna. Dopiero w parę godzin wiewiórka objaśniła wszystko makolągwie, gdy ta zaczęła ubolewać, że się stał taki straszny wypadek.

— Wypadek! — powtórzyła wiewiórka — piękny mi wypadek. Na własne oczy widziałam, jak ta miła sierota, nad którą pani makolągwa się tak lituje, wyrzuciła biedne pisklątko z gniazda.

— To być nie może! — zawołała makolągwa — inni dzieci byłyby przecież prawdę powiedziały.

— Ba! milczą biedactwa, bo się boją, ażeby i ich podobny los nie spotkał. A i tak niewiele im się już należy, takie wychudzone, wymizerowane, niedługo pewnie pociągają. To szaleństwo ze strony pani makolągwy, że tej niegodziwej kukułki nie wyrzuci z gniazda tak samo, jak ona z tém pisklątkiem zrobiła.

— Ach! pani wiewiórko! czyż jabym miała serce tak postąpić? Może ona to przypadkiem zrobiła. Już ja nie wyrządę za nic krzywdy pisklęciu, które znalazło przytułek w mojem gniazdeczku, które tuliłam i ogrzewałam własną piersią.

I stało się tak, jak wiewiórka przepowiedziała, dwoje pozostałych piskląt zginęło z głodu i osłabienia, a kukulka wyrosła zdrowa, a w końcu, gdy jęj skrzydła urosły, odleciała w świat i nigdy nie zajrzała nawet do przybranej matki. Biedna makolągwa, opuszczona i samotna, siedziała raz na gałązce, spoglądając ze smutkiem na puste gniazdeczko, potem zanuciła żałosną jakąś piosenkę.

— Że niemądra ta makolągwa, to niemądra — rzekła wiewiórka, która siedziała także przy swojej dziupli z dwiema córeczkami i opowiadała im te smutne dzieje — trzeba jednak przyznać, że jest bardzo poczciwa. Oszukano ją, skrzywdzono, niewdzięcznością odplacono za troskliwość i dobroć bez granic, ona przebaczyła wszystko, nigdy się nawet nie poskarży. Ale ta kukulka, oj ta kukulka! Już to powiem wam, moje dzieci, że lepiej zawsze być oszukanym i krzywdzonym, aniżeli oszukiwać i krzywdzić.

NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANA.

(Dalszy ciąg).

— Tak, to są główne ciała, z których wszystkie części roślin powstają, lecz wchodzą w nie także wraz z wodą, wciągana przez korzenie, różne inne minerały, w tej wodzie rozpuszczone: piasek, wapno, nawet żelazo, bo w ziemi jest wszędzie odrobina żelaza. Mówił mi nawet mój przyjaciel Chemik, że to głównie z żelaza wyrabia się w roślinach ta piękna farba zielona, która zabarwia wszystkie liście.

— Cóż to za cudowne rzeczy, mistrzu — mówił Zielonko — słusznie mówisz, że ani magia, ani alchemia, ani najdziwniejsze sztuki czarodziejskie, nie mogą się porównać z temi cudami przyrody. Ale powiedzże mi, kochany mistrzu, ty, coś zgłębił wszystkie mądrości tego świata, wszystkie magiczne nauki, jakim sposobem się to wszystko dzieje? Czyliż roślina ma rozum i wie, czego do życia potrzeba, że tak dowcipnie sobie ten pokarm chwytą, i z ziemi, i z powietrza? Jaka to w tém jest dziwna tajemnica?

— Tę tajemnicę, o miłościwy królewiczu, nawet najwięksi odemnie mędrzy Wschodu i Zachodu wyjaśnić ci nie potrafią, tę tajemnicę, cudowną w rzeczy samej, zna tylko jeden wszechmocny Stwórca świata. On daje każdej istocie to, co jest potrzebne dla podtrzymania jej życia. Opatrzność Jego czuwa nad drobną muszką i nad

mchu ździebelkiem, za Jego to sprawą dzieją się te wszystkie cuda w przyrodzie, On też jeden doskonale je pojąć i zrozumieć zdoła.

Rozmowa ta tak długo trwała, że już i ściemniło się tymczasem. Królewicz Zielonko kazał podać wspaniałe podwieczorek na świeżem powietrzu, zapalono światła, cały park jaśniał, jak w dzień biały. Nie było tu wprawdzie takich pięknych lamp elektrycznych, jak u królewicza Kryszałka, bo do tego potrzeba różnych przyrządów metalowych, a zwłaszcza drucików. Lecz płonęły jasno ogromne pochodnie ze smolnego łuczywa, na wysokich tykach umieszczone.

Na podwieczorek znów same roślinne były potrawy, owoców zwłaszcza co niemiara, najpyszniejsze winogrona, brzoskwinie, ananasy, granaty, pomarańcze, bo w cieplarniach królewicza Zielonki hodowano mnóstwo owocowych drzew i krzewów, ze zwrotnikowych klimatów pochodzących. Podano także wyborną kawę i herbata, cukru do tych napojów nie brakło, nie było tylko śmietanki, bo królewicz Zielonko, jak domyślicie się zapewne, krów nie trzymał. Skrzywił się trochę Abrakadabrus, bo bardzo lubił kawę z dobrym kożuszkiem. Na dworze Dobromira królowny same o tém pamiętały i nieraz Iskierka, Jagódka lub Perełka przysuwała kochanemu mistrzowi u stołu garnuszek z najlepszą śmietanką i najgrubszym kożuszkiem.

Spostrzegł to królewicz Zielonko, skinął na jednego z paziów i po chwili wniesiono w ładnym naczyniu z bukszpanowego drzewa gęstą, wyborną śmietankę, bez kożuszka wprawdzie, bo była świeżutka, niegotowana, lecz tak smakowicie wyglądającą, że mistrz uśmiechnął się z zadowolenia.

— Ach, przykro mi, miłościwy królewiczu — rzekł Abrakadabrus — że musiałeś dla mnie zapożyczać tę śmietanki u dostojnego brata Pióropuszka. Nie pojmuję tylko, jakim sposobem przynieśli ją tak prędko.

— Mylisz się, kochany mistrzu — rzekł Zielonko — ta śmietanka jest moją prawowitą własnością; krów wprawdzie nie trzymam, bo wszystkie trzody zagarnął Pióropuszek, ale w cieplarniach moich hodują się drzewa krowie.

— Drzewa krowie amerykańskie! — zawołał Abrakadabrus — że też ja o tém zapomniałem. Tak ślicznie ta śmietanka wygląda, nie przyszło mi nawet na myśl, że nie jest prawdziwa.

— Dla czegoż ją nazywasz nieprawdziwą, mistrzu? — rzekł Zielonko, trochę urażony — czemuż to moje roślinne krowki są gorsze od tych rogatych, nieznośnych bydła Pióropuszka. Nie dokuczają mi przynajmniej swoim rykiem, którego niecierpię. Sam lubię czystą herbata i kawę czarną, lecz sprowadziłem umyślnie te drzewa z Ameryki południowej, ażeby przeciw i mleka nie brakło na moim dworze. Bardzo to łatwa sprawa z temi poczciwymi roślinnymi krowkami: nadcina się trochę pień i wyborne mleko wypływa zaraz strumieniem. Mam także i palmy kokosowe, mogę ci kazać przynieść kokosowego mleka.

— Dziękuję, dziękuję — rzekł Abrakadabrus — nie rób sobie tyle kłopotu ze mną, miłościwy królewiczu,

twój stół tak suto jest zastawiony, nie będę głodny z pewnością.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

(Od Perełki z pod Wawelu dla Lilijki z nad Wisły).

Pierwsze nazwisko poety polskiego,
Drugie spółgłoska, według brzmienia swego,
Wszystko kobieta z narodowości,
Znaniej ze cnót swych i gościnności.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 26-go.

Łamigłówni w kwadraciku :

E T N A
T R O N
N O R A
A N A M

Skrzynka do listów.

Bławatka z nad Horynia rozrzewniła nas bardzo serdecznie mi zaprosinami. Gdyby to było troszkę bliżej, tobyśmy z nich skorzystali naprawdę, bo ani Bławatki, ani jej rodziców nie możemy uważać za obcych. Pobyt w mieście w czasie letnich upałów jest rzeczywiście przykry i niezdrowy, lecz nie mogąc się odrywać od licznych zajęć i nie chcąc zamykać skrzynki do listów pisząca te słowa musi w pobliżu Warszawy szukać wytchnienia latem Serdeczne też kochanej Bławatce za jej troskliwość przesyła podziękowanie, równie jak i Mamie za tyle życzliwości i tak pochlebne zdanie o „Wieczorach“.

Jutrzenka z listu Kazia najlepiej zrozumie, że nietylko ci, którzy dużo pieniędzy mają, mogą się przyczynić do dobrych uczynków. Nie trzeba czekać, aż się uzbiera rubel, bo i dziecień groszy ofiarowanych chętnym sercem, przyda się ubogim dzieciom.

Krasnolica ubawiła nas bardzo opisem swojego snu, upewniamy ją jednakże, że był wytworem wyobraźni i ani odrobiny prawdy w sobie nie zawierał. Autorka „Prawdziwego Bogactwa“ ucieszy się bardzo wiadomością, że dorastające czytelniczki tak serdecznie pragną naśladować bohaterki jej, Hankę i Tolę, gdyż w takim celu zapewne podała te wzory w swjej powiastce.

Śnieżycy nie możemy przyrzekać, iż otrzyma fotografią którą sobie na nagrodę wybrała, gdyż... okoliczności na to nie pozwalają. Niś wydamy nawet jej życzenia przed wiadomą osobą gdyż nie należy nikogo zawczeźnie w dumę wbijać.

Jaguar znów sobie wybrał pseudonym, którym już inny korespondent się podpisuje. Ponieważ tamten mieszka daleko od Warszawy, więc może dodać: Jaguar z nad Wisły?

Perełkę z pod Wawelu witamy serdecznie w gronie naszych kochanych korespondentek. Zadania konkursowe przerwaliśmy teraz na kilka tygodni z powodu wakacyj, lecz wkrótce rozpoczyna się znowu i Perełka będzie mogła do nich należeć. Lilijka z nad Wisły mieszka w Warszawie, zapewne też sama odpowie na liścik Perełki.

Pani N. N. która wraz z dziatwą czytuje „Wieczory“, dziękujemy po tysiąc razy za tyle życzliwości i tak serdeczne słowa zachęty. Domysły, wyrażone w przypisku, są poniekąd słuszne, sama pani jednak przyznaje, że cała ta sprawa jest w gruncie niewinna.

„Kochana Lilijko z nad Wisły! Bardzo mi się podoba twój pseudonym. Napisz mi, ile masz lat i jak ci na imię. Ja się na-

zywam Marynia, mam lat 8. Czekam na odp. wiedz, życzliwa Perełka z pod Wawelu.”

„Kochana Gołąbko biała! Wybacz, żem tak długo z odpowiedzią się ociągała, ale mi przeszkodziły lekcye i inne zajęcia. Jestem twoją imienniczką, mam dwie siostry i dwóch braci. Posłałam zaraz do redakcyi wypracowanie na zadanie konkursowe. Czy i ty także? Ściskam cię serdecznie i siostrzyczkę pozdrawiam, twoja Jutrzenka.”

Sarence z nad Moroczcu przesyła pozdrowienie Bławatka z nad Horynia, zapytuje, jak jej na imię, czy uczy się w domu czy na pensyi. Bławatce podobało się bardzo wypracowanie Sarenki o królowej Jadwidze.

„Kochany Zawierucho! Serdecznie ci dziękuje za odpowiedź i posyłam łamigłównę. Spełniając twoje życzenia, powiem ci o moich braciach. Starszy Tazio ma lat 12 i chodzi do II klasy, młodszy dopiero ma lat 9 i uczy się w domu; ściskam cię serdecznie, twój Krakowianin.”

„Kochany Wilczyku! Chciałbym się z tobą chociaż listownie poznać, proszę cię więc odpisz mi. Ja mam lat 11 jestem w klasie II-ej nazywam się Edward, twój Dzieciół.”

(Wilczyko pisał już do innego korespondenta jak się nazywa i ile ma lat, niech Dzieciół to sobie odszuka, bo tych samych szczegółów po kilka razy powtarzać nie wypada przyp. red.)

„Kochana Córo Jadźwingów! Bądź tak dobra, donieś mi o swoim wieku, swoim imieniu i miejscu zamieszkania. Ja noszę imię „Księżniczki” mam lat 16 i mieszkam na wsi pod Piotrkowem. Twoja Wielkopolanka.”

Gwoździkowi białemu i Fujarce przesyła pozdrowienie Topolka z nad Wisły.

Do wszystkich czytelniczek.

Dogadzając życzeniu wielu korespondentek i ich matek, przedłużamy termin nadsyłania robót na konkurs do dnia 10 Września. Wszystkie inne warunki pozostają nie zmienione.

Na kolonie letnie złożyli: Firletka biała rs. 3 — Fiołek biały 20 kop. — Pióropuszek rs. 1 kop. 50 — Niezapominajka i Kalina 40 kop. — M. J. D. rs. 1 — Skoczek rs. 1 — Figielek i Bera rs. 1 — Wyrwiduska rs. 1 — Różyczka z Odesy rs. 1 kop 20 — Władysław Wojtowicz kop. 60 — Józef Jurow rs. 1 — Kamelia różowa kop. 50 — Stefuś S. z kowieńskiej gub. rs. 3 — Dwie siostrzyczki i braciszek rs. 1.

Na kościół praski M. J. D. rs. 1. **Na pogorzalców Strjja Władysław Wojtowicz** kop. 40.

Waleryja Giewartowska

PRZEŁOŻONA ZAKŁADU NAUKOWEGO ŻEŃSKIEGO.

przy ulicy Ogrodowej Nr. 22/26.

przyjmuje uczennice stałe i przychodnie. Zapis uczennic po wakacjach, rozpocznie się 11/23 Sierpnia.

Numer 12-ty.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSZEDŁ I ZAWIERA :

Jubileusz profesorskiej działalności D-ra Baranowskiego, przez P. — Wskazówki metodyczne do nauczania początków gramatyki języka polskiego. Przez Henryka Wernica. — Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez J. Wł. Dawida (c. d.) — Korespondencya z Krakowa. — Nauka o rzeczach. (Wyjątek z dzieła Dr. Gabriela Compayré pod tytułem: Cours de Pedagogie théoretique et pratique tłom. z franc. — Krytyka i bibliografia: — Przegląd literatury zagranicznej Stanisława Berżańskiego, Ateneum. — Dodatek: Zadania ua ułamki S. Dickstejna.